№ 6.

Warszawa, dnia 6 Lutego. 1864 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp, 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

SŁOWIAŃSZCZYZNA

PÓŁNOCNO ZACHODNIA

Obraz historyczny z XII wieku.

(Dalszy ciąg.)

Czy Bóg Rugjanów Zvantevit, dawniéj przed napływem chrześcijaństwa w Słowiańskie kraje, był równie czczony i uważany za boga bogów, o tém nic nie mówi kronika. Zdaje się tylko, że sława jego, rozeszła się po Słowiańszczyznie, dopiéro w rozwiniętéj walce z chrześcijanami, jak to bliższy przebieg wypadków objaśnia. Według bowiem wieści, Ludwik syn Karola, kraj Ranian Świętemu Witowi poświęcił, założył klasztor i przy pomocy apostołów Rugian Chrześcijaństwu pozyskał. Gdy jednak Rugianie wprędce, uczuli gniotące ich jarzmo, chrześcijan wymordowati, wrócili do pogaństwa i wystawiwszy Ś-u Witowi ogromny posąg, zaczęli go czcić, jako samego Boga pod nazwiskiem Zvantevita czyli Swiatowita. Że zaś na wyspie Rugji, otoczeni zewsząd falami morskiemi, ciągle mogli stawiać zacięty opór chrześcijańskim zdobywcom, broniąc się skutecznie od napaści cudzoziemców, gdy po innych ziemiach Słowiańskich bój krwawy toczył się prawie bez przerwy; nic więc dziwnego, że ludy przyznawszy to szczególnéj mocy Swiatowita, wprędce uznały go za boga wszystkich swych bogów: Dlatego też zapewne, Swiatowitowi, jako obrońcy pogaństwa, czasem na ofiarę zabijano człowieka i to koniecznie chrześcijanina, powiadając, że we krwi ludzi powstających przeciw ich bogom, ciż bogowie szczególne mają upodobanie. Sam więc Swiatowit i sława jego widocznie powstała w czasie walki religijnéj, jak nawet tego brzmienie wyrazów Swiaty-Wit dowodzi.

Mimo tego, powiada Helmold, Ranianie odznaczają się, choć u nich nienawiść do chrześcijaństwa potężninjszą jest jak u innych Słowian, wielu dobremi przyrodzonemi cnotami. Czczą szczególniéj gościnność, rodzicom wyświadczają należne usza-

nowanie, i nie ma między niémi nędzarzy i żebraków. Kiedy w r. 1155 Helmold był w odwiedzinach u księcia Przybysława w Wagirji, dzisiejszym Holsztynie, stół zastawiono dwudziesto potrawami, i z tego powodu kronikarz tak się daléj wyraża. Wtedy to dopiéro poznałem z własnego doświadczenia, com dawniéj tylko ze słyszenia wiedział, że nie ma narodu szanowniejszego co do gościnności jak Słowianie. Bo w częstowaniu gości są wszyscy jednego ducha i równie gorliwi, tak że nikt nie potrzebuje prosić o gościnne przyjęcie. Co tylko rolnictwem, rybołówstwem albo polowaniem zarobią, dają wszystko pełnemi rękoma i czczą tego jako najtęższego, który jest najrozrzutniejszym; dla czego wielu, jedynie z chęci próżności, puszcza się na kradzież i rozbój. Zbrodnie te zdarzają się u nich często, bo uniewinniają je troskliwością o gościnność. Według bowiem zwyczaju słowiańskiego należy to, co się w nocy ukradło, we dnie między gości rozdzielić. Jeżeliby zaś komu, co się jednak nadzwyczaj rzadko zdarza, dowiedziono, że obcego do siebie nie przyjął, takiego dom i majętność można spalić; wszyscy zgadzają się na to, że ten który się nie wstydzi chleba obcemu odmówić, jest przeklętym i podłym i zasługuje na pogardę wszystkich. Przy tych cnotach Słowianie nad Elbańscy, zalecali się niepospolitą walecznością i znajomością wojennéj sztuki. W kronice Helmolda wszędzie można spotkać na to bardzo wyraźne dowody, a w jedném miejscu powiada:

Gdy Duńczycy odeszli, ruszyli zaraz za niémi Słowianie i powetowali dziesięćkrotnie swą szkodę.

Danja składa się bowiem po większéj części z wysp, które morze otacza i nie może się tak łatwo bronić od napadów rozbójników morskich, ponieważ tam są zatoki, w których się Słowianie bardzo dobrze ukrywać mogą i z których potém niepostrzeżenie wypadają, aby nie przeczuwających niczego złego napadać i rabować. W nagłych bowiem napadach Słowianie szczególniéj są zręczni, i dlatego panuje u nich zwyczaj rabowania tak upowszechniony, że z zupełnem zapomnieniem rolnictwa, gotowi zawsze do morskich wypraw, opierając wszelkie nadzieje zbogacenia się na okrętach. O budynki mało się troszczą, chałupy bowiem robią z chróstu, szukając tylko schronienia od wichru i deszczu, ile razy zaś wojna ma wybuchnąć, chowają wszystko, zboże wymłócone razem ze złotem, srebrem i kosztownościami w doły; żony i dzieci posełają do lasu lub miejsc warownych; nieprzyjacielowi więc prawie nic do rabowania nie pozostaje, wyjąwszy chałupy o których stratę nie wiele się troszczą. Napadów Duńczyków nie tylko mało się lękają, ale przeciwnie uważają nawet za rozkosz mierzyć się z niemi.

Lud więc Słowian północno zachodnich, jak widziemy z opowiadania Helmolda, miał łagodne bardzo obyczaje, zmieniający je tylko w chwilach szczególnego ucisku i prześladowania. Mimo tego, był jednak bitny i waleczny; w uprawie roli, oświacie i sztuce bynajmniéj sąsiednim Niemcom nie ustępujący, i tylko niższy od nich, swém pogaństwem w obec światła ewanielicznego i brakiem spojności w obec zcentralizowanéj i walącéj jak taranem siły całych Niemiec. Często bowiem kiedy jeden książe słowiański walczył przeciw potędze niemieckiéj, drugi w swéj krótko widzącéj przemyślności, nie miał skrupułu pozostawać zupełnie obojętnym, albo dla osobistych niechęci, wiązać się z Niemcami na pognębienie ziomka. W prawdzie chrześcijaństwo prędzéj czy późniéj zapanowałoby nad témi ludami, i wlewając w nie prawdy ewanieliczne dałoby im nowe życie, ale na szerzenie chrystanizmu potęgą słowa duch owego czasu nie pozwalał, w mieczu widziano wszystko i nawet ostrzem jego chciano zyskiwać wyznawców dla Chrystusa. To też w owych czasach cała Europa chrześcijańska wojowniczo pobrzękiwała rapirami cesarze, króle, książęta mniejsze i większe potencje ziemskie, rycerscy ludzie, biedota a nawet kobiety i dzieci, wszystko to biegło na wschód, aby siłą ramienia lub modlitwą, wyrwać z rąk niewiernych grób Zbawiciela, powalić półksiężyc i w miejsce jego zatknąć Krzyż tryumfujący.

Że zaś Turków i pogan za jedno uważano, i tępienie ich lub nawracanie miano sobie za zasługę, krucjaty więc zarówno ogłaszano na wschód do Afryki, jak na ludy Słowiańskie nad Elbą i Odrą mieszkające.

Gorączka ta religijna przez dwa wieki prawie wstrząsająca Europą bo od r. 1096 do 1291, gromadząca nieprzejednanych przedtém wrogów, grzeszników i zbrodniarzy, pod godłem miłości i pokuty, dla wywalczenia na dalekim wschodzie miejsca uświęconego grobem Zbawiciela, twardem brzemieniem przygniotła także ludy nad Elbą i daléj zamieszkałe. A brzemie to tym było okropniejsze, że narody co pod postaciami Radegasta i prawego czciły gościnność i prawo, i uznawały jako pana i zwierzchnika tych pięknych cnót *jednego Boga*, do przyjęcia chrystjanizmu były bardzo łatwemi. Prawdziwi apostołowie słowa bożego, dopełniliby w krótkim czasie podobnego podboju duchowego, i moralne zasoby Słowiańskiego ludu podnosząc światłem ewanielicznem, byliby je postawili na stanowisku godnem ich wartości i przeznaczenia wypraw krzyżowych. Ale w owych

czasach, chociaż krucjaty były tworem najpiękniejszéj myśli, krzyżownicy jednak pod znamieniem krzyża ukrywali bardzo ziemskie namiętności i obok zbawienia duszy i odpokutowania grzechów, jedni szukali zbogacenia się, drudzy panowania nad podbitemi krajami. W imię więc krzyża rabowano, palono, mordowano, oszukiwano, nie dotrzymywano obietnic, skutkiem czego w ostatecznym rezultacie, nad Elbą wytępiono Słowian, w krucjatach zaś stracono z parę miljonów ludności, a Ziemię świętą pozostawiono w rękach niewiernych. Sprawdziły się więc słowa Chrystusa, że dwom panom, Bogu i mamonie służyć nie można, a choć nauka była krwawą, pozostała jednak prawie bezużyteczną, bo i dziś jeszcze błąd ten ludzkość powtarza, i do celów najszlachetniejszych, mieszając widoki namiętności ziemskich, najpotężniejsze środki niszczy i roztrwania. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, powiada przysłowie polskie, a prawdę zamkniętą w tych słowach, wartoby wydrukować złotemi głoskami, i wywiesić na najwyższéj świata górze, aby ją ludzie zawsze mieli na oczach.

Gdyby Helmold nie był zostawił dosyć dokładnego opisu ludów nadelbańskich, sam ich opór nawale germańskiéj pomimo niezgód domowych prowadzony z wielkiem męztwem i wytrwałością przez dwa blisko wieki, już rzuca dosyć jasne światło na moralną stronę nardu, który dał się zarąbać ale nie uległ przed gwałtem i niewolą. W tym boju, którego obraz chcemy przedstawić naszym Czytelnikom, najważniejszą rolę odgrywają trzy ludy saskie czyli niemieckie, mową i obyczajami wielce zbliżone do siebie. Mieszkały one w ten-czas w zachodniéj części Wagirji czyli w dzisiejszym Holsztynie: Tetmarsowie zamieszkiwali nad morzem Niemieckiem ze stolicą Meldorp czyli dzisiejszy Meldorf; Sturmarowie na południe w okolicy Hamburga; bezpośrednio zaś dotykali Słowian Holsatowie ze stolica Foldera czyli Naumünster jak ją dziś nazywają. Wszystkie te miasta łatwo odszukać można na każdéj mapie Holsztynu, który widać że nazwę swą przyjął od Holsatów. najczynniéj zapewne występujących w wypieraniu Słowiańskich ludów z nad Elby.

Za nim przystąpimy do głównéj treści niniejszego opowiadania, damy tu pobieżną wiadomość o posążkach znalezionych w dawnéj Doleńców i Redarów ziemi.

Ponieważ przy zaprowadzaniu chrześcijaństwa bałwany wyrobione z drzewa palono, z miedzi zaś i ze spizu topiono, uczeni więc zupełnie nie posiadali wyobrażenia, jak one kiedyś wyglądały. W tém niespodziewanie w drugiéj połowie XVIII wieku, w Meklemburgskiem, w Prilwitz, znalazła się moc posążków bronzowych, przedstawiających rozmaite potworne postacie powiększéj części z napisami.

Posążki te wszystkie niezbyt wielkie, niektóre do zatykania na słupkach lub na kijach, bardzo niezgrabne, przedstawiały najwięcéj postaci ludzkich, często z podwójną lub potrójną twarzą, niektóre były ze zwierzęcemi głowami, lub węże z ludzkiemi. Gdy napisy odczytano, znalazły się imiona znanych bóstw pogańskich. Posąg Radegasta podziwiany z piękności przez Helmolda, w wykopalisku Prilwitzkiem, przedstawiony jest na tabliczce w części owalnéj ze ściętemi u góry bokami. W środku znajduje się twarz ludzka dosyś kształtnie wyrobiona z rodzajem korony na głowie, w koło któréj mieści się napis *Czirnitra Siebóg*, u dołu zas *Radegost*.

Pod względem sztuki, wyrób ten żadnéj nie posiada wartości, podziwiany jednak przez niemieckiego kronikarza, Helmolda, pozwala domyślać się z wszelką nieomal pewnością, że jeżeli sztuka u Słowian była w kolebce, to i u Niemców równo cześnie na niewiele wyższym stała stopniu.

d. c. n.

---

* * *

W tych dniach odebrałem zapytanie o wyjaśnienie powodów, wstrzymujących dość długo, zwykłą z Wami tygodniową pogadankę.

Odpowiedź mogłaby być daną w bardzo obszernéj formie, w potoku słów i... wykrętów, któreby najprędzéj mnie nie uniewinniły a Was nie przekonały. Porzucając więc drogę... wprawdzie roją-cą się nieprzeliczoném mrowiem ludzkiém, ale jaką ani Wy, ani Janek z Bielca nigdy nie chodzi, powiem Wam krótko węzłowato, że jak w życiu prywatném człowieka są chwile, w jakich przekłada samotność nad tłumne zebrania, a milczenie nad gwar ludzkiéj gawędy, tak i w piszących zdarzają się momenta, dnie i tygodnie, miesiące a czasem i lata, téj pustelniczéj mizantropji, odpychającéj papier, pióro i kałamarz jak zarazę, albo ból uciskający serce.

Umilkłem więc, bo i na mnie przypadła taka ponura godzina, przykra, bolesna, smutna, ucierniona Golgoty znamieniem... wybaczcie więc.

Dziś zabierając się do przerwanéj pracy, ruszyłem w świat, za wiadomościami i nowinkami, któreby związane nitkami własnych myśli mogły utworzyć sprawozdawczy bukiecik, może nie bardzo wonny i ciekawy, ale zato złożony z prawdzi-

wych faktów, wyrosłych na naszym gruncie i pod naszém wyhodowanych niebem. Naprzód więc zajrzałem do kolegów redaktorów, przewietrzających swe teki z pustek i stęchlizny. Uciekłem wystraszony zmniejszoną liczbą prenumeratorów.

Potém wstąpiłem do niektórych księgarni, i opanowała mnie dziwna nudota z niemierną szybkością z ziewania do snu przechodząca. Zajrzałem nareszcie do kramów, sklepów i magazynów... subjekci i właściciele przyjęli mnie z założonemi rękami, ale wiadomostką żadną nie obdarzyli. W omnibusach zastałem postacie wcale nie pochopne do gawędy z nieznajomym, milczące jak mumje a jak syfinksy tajemnicze. W resursie zaszemrał szelest kart i wahadło zegaru posuwającego za szybko skazówki ku dziesiątéj: w ogrodzie owiała mnie pustka i wskroś przyjęła zimowa cisza, przerywana od czasu do czasu, skrzypieniem drzew wiekowych; tylko przy kompasię zastałem garstkę ludzi rozprawiających z największą powagą, co to będzie' jak cień o godzinę posunie się naprzód; i w Świątyniach rój ludzi ukorzony jak zwykle przy stopniach ołtarzy.

Błądząc tak daléj i łowiąc okiem i uchem wrażnnia ulicznéj wrzawy, zaszedłem do jednego ze znanych lepiéj zakładów fotograficznych. Właściciel był zajęty i nieprędko mogłem się do niego docisnąć z rozmową.

— Witaj tyranie słonecznych promieni, rzekłem wreszcie podając artyście rękę, coś mu kazał pracować na korzyść dla siebie, a na pociechę śmiertelnikow pragnących unieśmiertelnienia. Wam widzę nigdy roboty nie brakuje.

—„Bogu dzięki, jest jéj poddostatkiem, ale i jabłek kwaśnych to samo — odrzekł artysta wzdychając."

—„A to z jakich powodów? chyba z zawodu gościa, jeżeli opóźniając wykończenie narażacie go na zwłokę w odbiorze zamówionéj roboty. Innych nie mogę się domyśléć."

Są jednak, a tym przykrzejsze, że niezasłużone. Za nic tu bowiem liczysz, owe przesadzone i śmiezzne wymagania, aby fotografja jak pędzel malarza, brzydkie wypiękniła, niekształtne zmieniła, potworne wymiliła, stare wymłodziła, słowem żeby nie była wiernem odbiciem natury, ale jakiegoś wymarzonego idealu, co to nosy skraca do właściwéj proporcji, twarz zaokrągla, policzki wydyma, niszczy zmarszczki, i obliczom z latami dobrze pobratanym, nadaje wdzięk dawno minionéj młodości.

Fotografja z ideałami nie brata się, tylko z rzeczywistością, i kłamać nie umie, żyjac więc prawdą, często jéj losu doznaje... zniechęca, gniewa a nawet oburza. Ot i kwaśne jabłka, o których wspomniałem, a na jakie, przyznasz, że zupełnie nie zasługujemy.

Bez wątpienia, odrzekłem, ale braciszku przesadzasz. Czyż podobna, aby ludzie byli tak nieświadami...

Wczoraj stanąłem w ogrodzie przy kompasie, przeewał mi z żywością artysta, i porównywając cień z zegarkiem ujrzałem zatrzymującą się tuż przy mnie parę, bardzo zamożnie ubraną, pokazującą ludzi wyższego, a przynajmniéj pieniężniejszego gatunku. Pani przyglądała się kompasowi z zajęciem jak dzikiemu zwierzu, skazówkę pobłyskującą od promieni słońca o mało nie zjadła oczami... odchodząc usłyszałem jak owa pani zapytała:

Mój mężu, ale w nocy kompas nie pokazuje godzin?

Zdaje się, odrzekł małżonek, nie umiejąc stanowczo kwestji rozwiązać. Jeżeli więc znajdują się jeszcze tacy, co nie rozumieją kompasu, cóż dziwnego, że jest wielu takich, co od fotografji wymagają zadosyć uczynienia ich kaprysnych wybryczków. Rozmowa przytoczona jest, niestety! jak najrzeczywistszą, bo nawet nie umiałbym wymyśleć coś podobnie excentrycznie kolosalnie... monstrualnego, że zaś co do fotografji nie przesadzam, dam ci dowód...

To rzekłszy, właściciel zakładu, wyjął list z szuflady i podając go dodał:

Zanim go odczytasz, muszę cię objaśnić, że wczoraj fotografowała się u mnie narzeczona, kobieta po sześćdziesiątce, tłusta, ropuchowata, trędowata, zatabaczona, i cała okryta zczerniałym mchem i brodawkami, jak bagnista łąka kretowinami. Portret ma służyć za podarunek przedślubny dla pana młodego, który z pewnością, przeniósłby nad niego kilka rulonów dukatów, bo baba choć, pękata ale bogata. Robotę przyrzekłem za tydzień... dziś odebrałem od niéj list, który ci przedstawiam w oryginale.

Otworzyłem, i następujące wyczytałem słowa:

Szanowny Panie!

Przed wyjazdem moim z Warszawy przypominam upraszając najuprzejmiéj, aby fotografja moja mająca być za tydzień wykończona, mogła być odrobioną z tą dokładnością prawdziwego artysty, wyższym talentem i wzniosłą poezją obdarzonego. Aby rysy podobieństwa uc' wycone, przedstawiały cechę młodości interesującéj, a cała postać wyrażała zręczną i miłą gracją mocą sztuki podniesioną.

Głowa zaś, aby mogła być zrobiona na wzór téj jak ma hrabina B. na to wspaniałe nioby, koronką

wystającą pokryte. O co ponawiając prośbę mam honor i t. d.

— „I cóż ty na to? zapytał artysta, gdym ukończył czytanie.

Że list był prawdziwy, nie podrobiony dla pustéj zabawki, mogę Wam ręczyć słowem Janka z Bielca nie zajmującego się nigdy, tym bardziéj dzisiaj podobnemi drobnostkami. Szukając więc papieru do przepisania téj arcy przemądréj odezwy odrzekłem:

— Są widać głupstwa, mój bracie, na świecie tak niezwyczajne, że się o nich nawet nie śniło największym mędrcom. Przy całéj komiczności smutna to jednak sprawa, bo jeżeli ludzie bogaci mogą się u nas znajdować z podobnie niemądremi głowami, cóż powiedzieć o biednych i całym ludzie wiejskim?

— „Obmierzła ropucha" — szepnął artysta, podając mi rękę na pożegnanie, a mnie późniéj zdawało się, że ją widzę we śnie, patrzącą oczami hrabiny, w niobach, w koronce i w miłéj i zręcznéj gracji któréj się tak natarczywie domagała.

Cóż jednak wyrówna odwadze pana młodego? Pokazuje się, że w pogańskim naszym świecie, złoto jeszcze długo będzie potęgą, poruszającą ludźmi jak marjonetkami, i że obecnie tak sławiona, cywilizacją, może kiedyś zwać się będzie.... głupstwem XIX wieku!

ŻYCIE—CHWILA.

O życie ludzkie, to chwila tylko,
Co się zaczyna i kończy chwilką,
Malutką chwilką.

Niby meteor, co się w noc pali,
Rozświeca ciemnie, połyska w dali,
I gaśnie w dali.

—To drżącéj tęczy łuk jasnopióry,
Co drga na łezkach posępnéj chmury,
Ginie śród chmury.

—To rączy strumień w cudzéj krainie,
Co choć przez cudne wybrzeża płynie—
Wciąż daléj płynie.

—To grom, co jasnym wężem się wije,
Obszar całunów nocnych odkryje,
W całun się skryje.....

II.

Mała dziecina igra wesoło—
Niebieskiem oczkiem strzela w około
Patrzy w około.

Chwila minęła śród upojenia—
A czas juz małe dziecie odmienia
W dziewczkę zmienia.

Liczko rumieńcem krasi się, puszy,
Nieznane czucie zawrzało w duszy—
W dziewiczéj duszy.

Już się zielenią mirtu gałązki:
Dziewica ślubne zawiera związki,
Wieczyste związki.

Marzeń dziecięcych już więdną kwiatki,
Błysły natomiast uczucia matki,
Cierpienia matki.

Dni, godzin nie ma w uczuć krainie,
Dla serca matki czas szybko płynie,
Bo z serca płynie.

Skronie boleścią, łzą ubielone
Niosą z pokorą z cierni koronę,
Cierpień koronę.

Głowę matrony już wiek popycha,—
W ówczas poznała, że życie chwila
Bo—życie—chwila.

III.

Trąby bojowe głośno zabrzmiały,
Pośpiesza rycerz na pole chwały
Po wieniec chwały.

Daje się słyszeć okrzyk do broni,
—Wojownik śmierci widziadło goni,
Lecz próżno goni.

Śmierć—zagrobowa ta zalotnica,
Na widok męztwa odwraca lica,
Wybladłe lica.

Rycerz ocalał z pośród tysiąca,
Choć wraże szyki gromi, roztrąca,
Śmierć go odtrąca.

Czas lotem mija śród walk i znoju—
Dni, godzin niema przy ciągłym boju,
Dla synów boju.

Już wiek schyloną głowę nachyla,
I poznał rycerz że życie—chwila,
Bo—życie—chwila.

IV.

Złamany bólem, smutny, ponury—
Ukochał człowiek samotne mury
Klasztorne mury.

Zdala od świata, skupiony w sobie,
Szuka przytulku w żyjących grobie,
W zapomnień grobie.

Sam—w uroczystéj zakonnéj ciszy
Weselnéj wrzawy, jęków nie słyszy,
Ludzi nie słyszy.

Z modlitwą w ustach, w martwym spokoju
Krwawego z światem nie pragnął boju,
Lękał się boju.

Bladą śmierć poznał jeszcze za życia. . .
Ustają zwolna już serca bici,
Urocze bicia.

Czas lotem mija, szron włosy bieli,
Dni, godzin niema w klasztornéj celi,
W odludnéj celi.

Już wiek znękaną głowę nachyla,
I mnich poznaje że życie—chwila,
Bo—życie—chwila.

V.

Więc życie ludzkie—to chwila tylko,
Co się zaczyna i kończy chwilką,
Malutką chwilką.

Więc to meteor, co się w noc pali,
Rozświeca ciemnie, połyska w dali,
I gaśnie w dali?

Więc to tęczowy łuk jasnopióry,
Co drga na łezkach posępnéj chmury,
Gaśnie śród chmury?

Więc to strumyczek w cudnéj krainie,
Co choć przez cudne wybrzeża płynie,
Wciąż daléj płynie?

Więc to grom, który wężem się wije,
Lecz gdy całuny nocne odkryje
W całun się skryje?

—Kiedy los świeci barwą motyla,
To życie szybko mija jak chwila,
Bo—życie—chwila.

Gdy martwy spokój rąk nie wysila—
Życie przeminie jak mija chwila,
Bo—życie—chwila.

Gdy troska braci głów nie pochyla—
Życie przeleci jak jedna chwila,
Bo—życie—chwila.

—Ale kto przetrwał piekło na ziemi,
Kto bliźnich objął dłońmi drżącemi,
Pierśmi drżącemi;

Kto nie znał doli, tylko niedolę,
Kto człowieczeństwa przecierpiał bole,
Ludzkości bole;

Dla kogo każdy dzień i godzina
Jękiem rozpaczy się rozpoczyna
Łzą rozpoczyna,

Ten w głębi duszy pomyśli skrycie,
Że długa chwila poprzedza życie—
Wieczności życie.

Sewe"yn Zaleski.

NĘDZA ZA CZASÓW FRONDY

(Dokończenie.)

Stan tak przerażającéj nędzy wywołał rozpacz powszechną, która się powoli w bunt przerodziła. W Normandji utworzyły się bandy bosaków, w Guiennie rozbijali Krokanty. Rozbój stał się stanem normalnym téj nieszczęsnéj społeczności, a nawet był upoważnianym. Ludwik XIII w 1640 r. pisząc do gubernatora Arras, wyraził się: Dzielny i szlachetny Saint Prieul, żyj z przemysłu, skub kurę ale tak, żeby bardzo nie wrzeszczała, czyń jak drudzy czynią na swoich gubernatorstwach. Masz wszelką władzę i wszystko ci jest dozwolone.

Panowanie gwałtu wywarło wpływ fatalny; każda dusza ludzka pod obuchem nędzy omdlała w poczuciu swéj niemocy. A żeby wybór Mazarina został przyjęty, Anna Austryjaczka, zmuszoną była kupić sobie zadłużoną szlachtę, wydaniem na łup jéj Francji. Grabież niesłychana wnet pochłonęła skarb w chwili skonu Ludwika XIII. Skoro brakło pieniędzy, rozdawano przywileje, a kiedy nic już do dania nie było, kiedy wyczerpana Francja jękiem odpowiedziała na nielitościwe dworskie rekwizycje i Mazarin musiał odmawiać, poprzysiężono jego zgubę.

Wtedy lud obarczony podatkami, zapomniawszy długich wieków prześladowania feodalnego, połączył się ze szlachtą swoją, ciemiężycielką, przeciw królowi. Nawet parlament, ta zewnętrzna formuła woli monarszéj, nasrożył się i zaintonował przegrywkę do wielkiego buntu z 1789 r.

W téj wojnie nazwanéj Frondą, lud jak zwykle ucierpiał najwięcéj, ciosy królewskie odbijały się od rycerskiéj zbroicy, ale w ciało proletarjatu grzęzły jak w glinę. Szlachta mogła w téj wojnie, w najgorszym razie utracić kilka przywilejów, lud musiał w niéj postradać ostatni kawałek chleba. Od pierwszego zajścia, rozruch szerzył się jak ogień na wrzosie. Wojska plądrowały wsie, a lud umierał pomiędzy żołdactwem a siepaczami panów feodalnych. Po przegranej pod Charenton, w okolicach Paryża, w zimie, wieśniacy w pół nadzy uciekali do lasu, a kobiety szalone głodem i rozpaczą, zabijały własne dzieci, ażeby je od podobnego losu uchronić. Wszystkie stosunki życia zwyczajnego ustały, włościanie którzy nie mieli nic do dania, byli żywcem ze skóry obdzierani. Pióro się wzdry-

ga i nie chce powtarzać okrucieństw opowiadanych przez autora.

Pokój saint-germański był tylko chwilowem zawieszeniem wojny. Wprędce rozpoczęła się fronda, wojna szalona, nie mającą sobie podobnéj w dziejach, zwana babską dla tego, że w niéj wszystkie namiętności i wszystkie żądze niskie były poruszone. W owczas ostatnie pojęcia sprawiedliwości i moralności znikły. Widać tylko samolubstwo, chciwość bezwstyd i lekkomyślnosć w tym świecie, zajętym wyłącznie swemi interesami i miłostkami. Na szczycie owczesnéj Francji, widać tylko rozciągniętą sieć sromotnych związków miłosnych, powiązanych kłamstwem lub intrygą. Podczas kiedy wielcy tak się bawili, krew ludności rozległego kraju lała się strumieniem....

Wszystkie dokumenta składające książkę o któréj mowa, powtarzają ciągle jedną nutę rozpaczy Rzadko można napotkać w historji ślady tak wielkiego zawichrzenia społecznego. Czuć koniec zużytego świata, koniec społeczności choréj, która na chwile zgalwanizowana, rzuca ostatni fałszywy blask, ażeby potem zapaść na zawsze w czarny grobowiec ostatnich Ludwików. Konanie jednak jeszcze było długie; widać je mianowicie po zwalczeniu frondy, zwalczeniu powierzchownem, bo rozruchy trwały jeszcze lat kilkanaście. Rezygnacja zwyciężonéj szlachty wnet przerodziła się w nikczemne służalstwo; przyszło do tego, że dawny wróg monarchji książę la Teuillade, ze swemi muszkieterami ukląkł na placu des Victoires przed statuą króla, którą wystawił swoim kosztem i co wieczór oświecał jak ołtarz.

Ostatecznie z dzieła autora, można wyciągnąć następującą konkluzją: fronda była ruchem znakomitym; jestto krótka ale energiczna przedmowa do nieśmiertelnéj protestacji z 1789 roku. Nie fronda jednak szlachecka, bo ta była tylko ostatnim wysiłkiem konającéj feodalności, ale fronda parlamentarna, ta która w roku 1652 na 137 lat przed rewolucją wyrzekła owe pamiętne słowa: wielcy są wielkiemi dlatego tylko, że ich na naszych barkach nosimy.

Dlaczegóż więc ta walka pozostała bezpłodną? dlaczego doprowadziła do płaskiego schlebiania Wersalowi? Bo nędza zniweczyła wszelką siłę moralną, cofnęła ludzkość o trzy wieki, bo mocniejszą była od budzącego się ducha.

(*Bibl. Warsz.*)

Paryż, d. 28 Stycznia 1864 r.

Suknie tegoroczne, a szczególniéj jedwabne robią wszystkie ze ścinanemi w górze brytami. Mało w ogólnosci widzieć się daje garnirunków, za to na wszystkich szwach dają torsadki szmuklerskie lub też aksamitne rulony. Widzieliśmy taką suknię zgładkiéj materji czarnéj przybraną u dołu grubym rulonem aksamitnym, wzdłuż wszystkich brytówszły takież rulony aż do góry. Stanik postyljoński odpowiednio oznaczony był rulonem i grelotkami z pod spodu wychodziła aksamitna kamizeleczka z roztwartym bawetem, spięta na lawowe guziki. Rękawy prawie obcisłe cokolwiek otwarte aby ręka przejść mogła, kończyły się rulonem odwróconym na szwie aż do ramienia. Na sukni czarnéj najładniéj oznaczają się rulony fijołkowego koloru.

Do mniejszego ubrania, zwróciła uwagę naszą ładna suknia popielata w czarny marmurek, z wyrobu wełnianego, mięszanego z jedwabiem. Spódnica osobna, miała u dołu gruby rulon aksamitny czarny. Miejsce stanika zastępował kaftaniczek wcięty prawie do figury, obłożony wązko aksamitem, z zaokrąglonemi przodami, które się trochę otwierały. Podspód szła osobna takaż sama kamizeleczka, spięta na aksamitne guziki z podwójnym, rozchodzącym się mocno bawetem.

Na rano używane są bardzo Gabrjele, okładane pikowaną materją, spięte na rząd guzików. W górze zdobi je zwykle mała czworograniasta pelerynka, obłożona plisą pikowaną. Po bokach idą kieszonki, ozaczone stosownie. Rękawy ścięte do łokcia, cokolwiek są szersze niż u zwyczajnych sukien, obłożone jedwabnym mankietem.

Uważaliśmy także czarny kaszmirowy spuszczany szlafroczek, przyfałdowany w górze do karczka. Ogarnirowany był wkoło ruszką z fijołkowéj popelinki w czarną kratkę: ruszka ta odwracała się po obu stronach przodu, w środku szedł rząd guzików, objętych takąż samą popeliną. W miejscu gdzie fałdy łączyły się z karczkiem, naszyta była ruszka. Pasek także nagarnirowany był ruszką fijołkową. Dla bardzo szczupłych osób, może to być ładnie, inaczéj garnirunek w pasie pogrubia figurę i niezgrabnie wygląda. Rękawy cokolwiek otwarte u ręki, i kieszenie po bokach spódnicy odpowiednio były przybrane.

Torebki przyczepione do pasków, czyli tak zwane omonierki, powszechnie używane są, tak do mniejszego, jak i do większego ubrania. Do strojniejszych sukien robią je z pasmanterji; do codziennych z materji lub skóry, nabijane stalkami.

Widzieliśmy między innemi, w pięknym magazynie *Gagólin'a* taką torebkę, pokrytą czarnym barankiem, przyczepioną do barankowego paska. Oryginalnie to i ładnie wygląda.

Baranek w ogólności bardzo używany do ozdoby paletocików i rotond. Okładają nim także małe pelerinki pikowane wkształcie chusteczek, noszone w pokoju. Kołnierze i manszoniki barankowe, tak czarne jak siwe, ciągle się pojawiają na ulicy. Niekiedy zamiast kołnierza, noszą krawatkę barankową, szeroką na trzy palce z końcami zakończonemi w ząb, sięgającą prawie do stanu. Buciki aksamitne lub sukienne okładają również barankami.

Kaftaniczki postyljońskie z karoczkiem, szamerowane taśmą, okryte grelotkami stanowią ulubione ubranie młodych osób. Robią je zazwyczaj do figury, tak z aksamitu, jak z materji pikowanéj, do mniejszego ubrania, z kaszmiru i sukna. Pod spód służy Garybaldka kaszmirowa lub fularowa, wyszywana sutaszem przystająca gładko do stanu. Strojniejsze szmizetki bywają półbatystowe lub muszlinowe, układane w zakładki, obszyte walansienką.

Kołnierzyki małe webowe ciągle się utrzymują z tą różnicą, że je zwykle obszywają koronką do koła, lub tylko na rożkach wyłożonych z przodu. Jedne z nich mają kształt marynarski, inne stojące są w górze z przodu zaś wyłożone. Rękawki do nich muszlinowe mają mankiet prosty jak u męzkich koszul, obszyte koronką.

Opis deseni do haftu.

Nr. 1. Szlak i narożnik do chustki od nosa. Haft atłaskowy z robótkami.
Nr. 2. Połowa mankieta do białego rękawka.
Nr. 3. Połowa kołnierzyka webowego który się składa z dwóch takich klapek tylko na przodzie. Końce te obszywają się walansienką, która zachodzi na około szyi.
Nr. 4. Kołnierzyk stojący haftowany czarną bawełną.
Nr. 5. Połowa mankieta.
Nr. 7. Kołnierzyk.
Nr. 8. Mankiet płócienny haftowany czarną bawełną.
Nr. 9. Kołnierzyk.
Nr. 10. Kołnierzyk. Haft robi się czarno.
Nr. 11. Mankiet.
Nr. 12. Szlak do chustki od nosa.
Nr. 13. Połowa mankieta.
Nr. 14. Kołnierzyk.
Nr. 15. Wzór szarfy czarnéj jedwabnéj z karoczkiem postyljońskim.
Nr. 16. Kapturek watowany dla 3 letniego dziecka z tybetu szafirowego albo białego, garnirowany takąż wstążką i wyszyty sutaszem.
Nr. 17 i 18. Narożniki do chustek od nosa.
Nr. 19. Litery F. G. A.
Nr. 20. Deseń na serwetkę z białego sukna do nakrycia imbryczka do herbaty. Szlak imitujący karty naszywa się kolorowem suknem, również trzy karty umieszczone w rogach lub w środku serwetki.
Nr. 21. Narożnik do chustki od nosa.
Nr. 22. Deseń na wstawkę.
Nr. 23 i 24. Figury w bluzkach i pasku aksamitnym.
Nr. 25. Deseń do wyszycia sutaszem.
Nr. 26 i 27. Desenie na wstawki.

Opis formy płaszczyka do chrztu dla małego dziecka, paska aksamitnego z klapkami i szarfy z karoczkiem postyliońskim.

Nr. 1. Pelerynki do płaszczyka. Deseń wyszywa się sutaszem albo grubym jedwabiem, ściegiem łańcuszkowym. Płaszczyki do chrztu bywają zwykle z materji, kaszmiru albo białéj piki, z pierwszych dwóch materjałów robią się, pikowane na wacie, pelerynka zaś krajana skośnie podszywa się tylko fularem.
Nr. 2. Połowa karczka, ktory się kraje w całości i do niego przymarszczony jest płaszczyk.
Nr. 3. Rękaw.
Nr. 4. Całość płaszczyka.
Nr. 5. Połowa karoczka postyljońskiego, który się kraje w całości, i wyszywa sutaszem albo grubym jedwabiem, ściegiem łańcuszkowym. Kółka wypełnić można perełkami czarnemi, następnie podszyć trzeba sztywnym muszlinem i ozdobić koronkową lub sznelową frendzlą.
Nr. 6. Koniec do szarfy, które powinny mieć blizko po 7 ćwierci długości. Pasek tak jak szarfa robi się z czarnéj materji jedwabnéj, na sztywnéj podszewce i zapinana na klamerkę lub haftki. Szarfa taka z karoczkiem bardzo dobrze pasuje do stanika gładkiego bez bawetów, nie tylko z materji ale nawet z wyrobu wełnianego, tego samego jak suknia. Całość paska przedstawiona pod Nr. 15 na stronie deseni do haftu.
Nr. 7. Boczna klapka do paska, który przedstawiony pod Nr. 23 i 24 na drugiéj stronie.
Nr. 8. Boczek idący do przodu.
Nr. 9. Przednia część paska.
Nr. 10. Połowa klapki do tyłu, która się kraje w całości. Pasek aksamitny obszywa się brzegiem wstawką gipiurową; z materji jedwabnéj aksamitką. Podszewka daje się zwykle jedwabna i guziki lawowe. Fiszbiny wciągają się na wszystkich szwach.
Nr. 11. Całość kołnierzyka którego forma pod Nr. 3 na stronie deseni do haftu.
Nr. 12 i 13. Szlaki do obrusów kościelnych.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się opis deseni do haftu, opis formy płaszczyka do chrztu dla małego dziecka, paska aksamitnego z klapkami i szarfy z karoczkiem postyliońskim.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 6 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 6 Lutego 1864 roku.

JAN HALIFAX,

POWIEŚĆ M^SS MULLOCH,

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dalszy ciąg.)

Janek poglądał na nią ze smutkiem, przykro mu było odtrącać jéj uprzejmą grzeczność: ale szyderczy uśmiech drugiéj pani, wrócił mu odwagę.

— Nie lady Brithwood, rzekł, to być nie powinno. Możemy się spotykać przypadkiem, ale bywać u siebie niepodobna!

Lady Karolina, ruszyła ramionami.

— Jak chcesz, nie zwykłam wpraszać się nikomu z przyjaźnią.

— Niechże pani, nie tłómaczy na złe moich słów. Umiem cenić jéj dobroć dla mojéj żony, ale różnica między nami zbyt wielka.

— Doprawdy? rzekła lady Karolina z przymuszonym uśmiechem.

— Nasze drogi odmienne jak dwa odwrotne bieguny. Ani dom nasz, ani towarzystwo, nie dla pani. Co zaś do żony mojéj, dodał patrząc na pomalowane lica dwóch kobiet, stopa jéj nie przestąpi nigdy niewłaściwych dla niéj progów.

Pani Brithwood przygryzła usta z gniewem.

— Czy słyszysz Emo? Taki młody, a już niegrzeczny. Ale zobaczemy, zmienisz jeszcze zdanie. Dowidzenia piękny kuzynku.

Powóz potoczył się szybko.

— Janku, rzekłem, co powie na to żona?

— Dzięki Bogu, że nie jest już z niemi; stokroć dziś bezpieczniejsza, pod opieką uczciwego człowieka, odrzekł z widocznem wzruszeniem.

— Przecież lady Karolina...

— Czy wiesz, kto był z nią?

— Ta piękna kobiéta?

— Niestety Fineas, to lady Hamilton!

Opuścił mnie przy progu z łagodnym jak dawniéj uśmiechem.

— Przyjacielu pamiętaj o sobie, rzekł, dziś zwłaszcza, kiedy mnie tu nie ma.

XXI.

Jan Halifax, był z żoną w ogrodzie.

Jakże młodzi byli i piękni! On klęczał sadząc bukszpan w około grzędek, Urszula stała przy nim, wsparta na jego ramieniu. Na ręku jéj połyskiwał ślubny pierścień. Rozmawiali z sobą, nie spostrzegli więc zrazu, kiedym przyszedł.

— Witaj nam drogi Fineas, zawołał Janek, ściskając mi obie ręce.

Urszula powitała mnie tkliwie, jak siostra brata.

W kilka minut potem odeszła, zostaliśmy oba z Jankiem. Ścigał ją oczyma dopóki nie znikła w cieniu drzew, potem rzucił motykę, zbliżył się do mnie, i długo patrzał mi w oczy. Cały drżał od wzruszenia.

— Czyś szczęśliwy mój Janku.

— O! prawie zatrwożony własném szczęściem. Dałby Bóg, abym umiał na nie zasłużyć.

Oblicze jego wyrażało w pełni to szczęście wypływające ze związku dwóch godnych siebie istot, które dopełniają się wzajem i uosabiają to święte prawo Zbawiciela, „Człowiek porzuci ojca, matkę, braci i przyjaciół a połączy się z małżonką, i będzie ich dwoje w jednem ciele.”

Obeszliśmy kilkakrotnie ogród, który nie przypominał bynajmniéj Edenu. Były w nim kwatery zasadzone kapustą, grządki kwiatów, opuszczone od dawna, i wielkie owocowe drzewa w złym stanie.

— Wszystko to urządzimy lepiéj na rok przyszły, rzekł Janek wesoło. Z czasem będziemy mieli śliczny ogród.

Rzucił dumnem okiem na swoją posiadłość i widząc zbliżającą się żonę, odebrał list z jéj ręki

Nasza „róża z Enderly” przybrała postać poważną, z którą było jéj prawdziwie do twarzy.

— Czy mogę przeczytać, zapytała, spoglądając na list.

— Czytaj moja maleńka.

Rozśmiałem się z tego pieszczotliwego wyrażenia, które się bynajmniéj nie stosowało do wzrostu Urszuli. Nie była to jednak pora do śmiechu

Mocny rumieniec pokrył lica młodéj kobiéty, podczas gdy czytała list, potem przybrała surową postać. Janek zgniótł papiér w ręku, rzucił go między krzewy, i wziąwszy obie jéj ręce, patrzał na nią z uśmiechem.

— Ty nie dbasz o to kochanko, nie prawdaż? wszakże wiedzieliśmy już o tém.

— Nie, lecz to niesłusznie! sądziłam, że tak nie postąpi... a ty?

— Patrz Fineas, ona myśli, że nikt nie może wyrządzić krzywdy jéj mężowi, nawet Ryszard Brithwood.

— Ten niegodziwy...

— Cicho kochanko; nie mówmy o nim, gdyż mimo wszystkich pogróżek, nie może nam nic zrobić. Zresztą biédny człowiek, on nigdny nie będzie tak szczęśliwy, jak my.

Miał słuszność. Zuchwały list pana Brithwood pozostał na ziemi wśród krzaków: my zaś przechadzaliśmy się swobodnie w zdłuż ogrodu radząc jakby się urządzić, jak najoszczędniéj, na nowem gospodarstwie. Bieda nie trwożyła ich, przeciwnie przyjmowali ją w dom swój, jak dobrą przyjaciółkę, która lubo na pozór surowa, miała im dać niejednę zbawienną naukę.

— Nie lękamy się biédy, rzekł Janek, i nie wstydziemy się jéj wcale. Cóż nam to szkodzi, że ludzie będą nas mieli za ubogich? godność spoczywa w człowieku, nie w tém, co go otacza.

— Ależ sąsiedzi?

— Sąsiedzi powiedzą co im się podoba. Ten pokochał w połowie biédę, kto prowadzi dom swój dla siebie, nie dla oka sąsiadów.

— Prawda, zawołała Urszula, podnosząc głowę wesoło. Zresztą my młodzi, niewiele mamy potrzeb, potrafimy się do wszystkiego zastosować.

— Nie będzie już więc na jedwabną popielatą sukienkę, rzekł na pół tkliwie na pół smutno.

— Spodziewam się, że będę równie miłą w płócienkowéj! a co do szczęścia, nic mi go przez to nie ubędzie.

Janek odpowiedział na to ze śmiechem, wymowniejszym nad słowa.

Wróciliśmy do domu. Urszula oprowadziła mnie po wszystkich kątach, po czem zasiedliśmy w saloniku. Po herbacie Urszula układała książki na półkach, które Janek poprzybijał do ściany. Niektóre z nich ułożyła na starym fortepianie.

— Niechże przynajmniéj dzwiga książki, rzekła, skoro nie umiem go właściwie użyć.

Urszula nie grała, ani śpiewała.

— Wszakże on ci tu nie zawadza rzekł Janek, lubię patrzeć na fortepian, pamiętam jak przez sen, grającą nieraz matkę moją.

— Nigdyś mi nie mówił o twojéj matce, Janku.

— Niewielebym ci mógł powiedzieć. Dawno już bardzo dawno, rodzice moi pomarli, zostawiając mi tylko imię.

— I wcale ich nie pamiętasz?

— Ojca wcale, matkę cokolwiek tylko.

— I nie zachowałeś żadnéj po nich pamiątki?

— Jednę tylko, czy chcesz ją widzieć?

— O tak, rzekła wzruszonym głosem.

— Jaka to boleść dla niego, że nie znał rodziców, rzekła Urszula, gdy Janek wyszedł z pokoju. Jakbym pragnęła ich znać, zresztą mniejsza o to, kiedy znam *jego samego*.

I uśmiechnęła się, odrzucając z czoła bujne włosy, skromny tytuł małżonki Jana Halifax, czynił ją dumniejszą, niż korona na głowie.

Janek niebawem powrócił.

— Patrz Urszulu, rzekł, oto wszystko, co mi pozostało po rodzicach! nikt tego dotąd nie widział oprócz jednego Fineasa.

Trzymał w ręku mały Testament grecki, który mi pokazywał przed kilkoma laty. Zdjął z niego jedwabny pokrowiec, przywiązany wstążeczką; była to robota kobiéty, jego matki zapewne, Urszula wzięła książkę, otworzyła ją, i na piérwszéj stronnicy wyczytała na głos:

Gui Halifax, gentelman.

— Ja myślałam... rzekła zapłoniona....

Nie dopowiedziała nic więcéj, lecz widać było radość w jéj oku, i dziwić się temu nie można. Urszula była wychowana w przesądach rodowych.

— Myślałaś zapewne, że jestem synem wieśniaka. I cóżby mi to szkodziło, gdyby wreszcie i tak było?

— Nie! zawołała, tuląc się do piersi małżonka. Nie szkodziłoby mi to wcale. Czyby twój ojciec był królem na tronie, czy żebrakiem ulicznym, wszystko to jedno, ty zawsze byłbyś sobą... moim mężem, moim Janem Halifax!

Niech cię Bóg błogosławi ukochana moja! odrzekł Janek, przyciskając ją do serca.

Zapomnieli o mojéj obecności. Ja też wysunąłem się nieznacznie z pokoju, i wróciłem do ojca.

XXII.

Zima a za nią wiosna ubiegła spokojnie: zły stan zdrowia zatrzymywał mnie ciągle w domu; ale Janek i Urszula często mnie odwiedzali. Lubiłem patrzeć na nią, kiedy siedziała przy mnie; głos jéj łagodny ukrzepiał mnie na duchu. Wówczas to na wyraźne jéj żądanie przestałem ją zwać pa-

nią Halifax, zowiąc ją po prostu Urszulą. Nie łatwo mi to przyszło, gdy cała jéj postać, wyrażała niepospolitą godność, i nakazywała uszanowanie. Obejście jéj w młodym wieku odznaczało się szczególną słodyczą, łagodnością, wyjąwszy względem tego, który posiadał całą jéj miłość. Dla obcych była grzeczną, lecz nie dawała im przystępu do siebie.

Podczas ciepłych wieczorów letnich, opuszczałem chętnie nasz dom samotny, aby zasiąść pod jabłonią w ogrodzie Janka.

Ogród ten zupełnie nową przybrał postać. Stare drzewa oczyszczone z mchu i suchych gałązek, inaczéj wyglądały niż dawniéj: oprócz tego przybyło wiele młodych, posadzonych w jesieni ręką Janka. Ojciec dostarczył mu szczepów różnego rodzaju: pani Jessop zaopatrzyła w nasiona kwiatowe i warzywne; dosyć, że ogród osłoniony w koło murem, wystawiony na działanie słońca, a nadewszystko troskliwą pielęgnowany ręką, bardzo był miły dla oka, i pożyteczny zarazem dla spiżarni młodéj gospodyni. Na grządkach kwitły prześliczne gwozdziki, i ostróżki otoczone wkoło bukszpanem, daléj żywopłot z pachnącego głogu przysłaniał kwatery z kartoflami. Poczciwy stary ogród, jakich dziś mało widać! ileż w nim przepędziłem chwil błogich! Każde jego drzewo, każdy kwiatek, maluje się dotąd żywo w méj pamięci.

Po południu, kiedy słońce jeszcze przypiekało, siadałem w sieni, i przyglądałem się Urszuli krzątającéj się około małego swego gospodarstwa. Nigdy nie spoczywała ani chwili; niekiedy siadała przy mnie na ławce, trzymając na kolanach wielką miskę glinianą, pełną zielonych strąków, które łuskała białemi paluszkami.

Wieczorem siadała przy oknie z robotą, wyglądając powrotu Janka. Skoro się ukazał z daleka zarumieniona od radości wybiegała do drzwi na powitanie.

Szczęśliwi byli w owych dniach cichego ubóstwa; nie mieli stosunków z obcymi, nikt ich nie odwiedzał, ani też oni nikogo; dom i ogród był to ich mały światek.

W piękny wieczór lipcowy chodziliśmy z Jankiem po ogrodzie. Urszula odeszła już do pokoju, czas był pogodny, noc cicha, niebo jaśniejące gwiazdami. Cudny urok roztaczał się dokoła.

— Fineas mam ci coś powiedziéć, rzekł Janek.

— Cóż takiego spytałem.

Zatrzymał się chwilę i potem mówił daléj:

— Patrz na tę jabłoń, pokrytą owocem: niedawno podziwiałem z Urszulą jéj kwiat blado różowy. Kiedy liście z niéj opadną, pod dach nasz ubogi przybędzie nowy gość, aby nas nazwać rodzicami.

Uścisnąłem mu rękę w milczeniu.

— Nie umiem ci powiedziéć co czuję, wyobrażając sobie jak dom nasz napełni się wrzawą i szczebiotem małéj dzieciny....!

— Prawdaż to czy sen? na Boże Narodzenie, będę już ojcem, przyjacielu.

Usiadł na ławce i milczał.

— Radbym wiedział, rzekł nakoniec, czy mój ojciec tak był młody kiedym ja przyszedł na świat, i czy tak żywo czuł swoje szczęście? O Fineas, jakież to błogosławieństwo! jaka radość! Bóg nam z syła niewinną istotkę, którą mamy przysposobić dla Nieba. Jakże się wywiążemy z tego świętego obowiązku? my oboje tak młodzi, tak niedoświadczeni! Urszula będzie miała ledwie lat ośmnaście. Nieraz siedzęc na téj ławce, rozmawiamy o tém dziécięciu, radzimy nad jego wychowaniem; niekiedy lękamy się tak wielkiego szczęścia!

— Bóg natchnie was, co macie czynić, odrzekłem.

Siedzieliśmy jeszcze chwilę. Poglądałem na Janka, który wlepił oczy w te miljony światów, krążących po nad nami, które nie więcéj ważą przed obliczem Stwórcy, jak jedna ludzka dusza.

Dziécię przyszło na świat z piérwszym śniegiem.

Była to dziéweczka; śliczna dziewucha według zdania pani Jessop i Joanny. Ta ostatnia przeniosła się do domu Janka, i z dumą ukazywała wszystkim niemowlę obwinięte w poduszkę.

Janek nazajutrz po urodzeniu dziewczynki, przyszedł oznajmić nam swe szczęście. Spokojny uśmiech ożywiał jego usta, ale Joanna mówiła, że kiedy poraz piérwszy wziął dziéweczkę na ręce, rozpłakał się jak dziecko.

Maleńka wzrastała, biała jak kwiateczek zimowy. Nie widziałem dotąd niemowlęcia, a raczéj, nie zwracałem na żadne uwagi, ale dziécię Janka, owładnęło zupełnie serce moje.

Nazwano dziéweczkę Mureelą, przez pamięć matki Janka. Urszula sama nadała jéj to imię.

To imie tak słodkie, tak święte, dla nas, nakreślam dziś ze łzami.

Nasza Muriela, urodziła się w Grudniu r. 1802, ochrzczono ją 9 Lutego.

W tym dniu byliśmy u Janka na obiedzie; mój ojciec, państwo Jessop i ja; piérwszy raz od lat dwódziestu ojciec jadł obiad pod cudzym dachem. Nie spodziewaliśmy, się żeby przyszedł, gdyż na prożbę Janka, potrząsnął głową jakby w odmawia-

jący sposób, ale kiedyśmy siadali do stołu, Urszula krzyknęła z podziwienia, ojciec bowiem ukazał się w pokoju sali.

Poczciwy stary ojciec! widzę jeszcze wysoką jego postać, cokolwiek pochyloną wiekiem; twarz bladą, starannie ogoloną, przenikliwe jego oczy, coraz łagodniejszego nabierające wyrazu. Miał na sobie niedzielne suknie, i białą chustkę na szyi; trzymał kapelusz z szerokim brzegiem, i laskę; na ustach jego spoczywał słodki uśmiech.

Młodzi małżonkowie, powitali go z najżywszą radością. Ojciec podziękował im za uprzejme przyjęcie, i siadł do stołu nie tłumacząc, się czemu odmienił zamiar.

Obiad był prosty, zastawa bardzo skromna, główną ozdobą stołu był ogromny bukiet kwiatów, umieszczony wpośrodku. Nie pamiętam jednak przyjemniejszéj uczty w życiu mojem.

Po obiedzie zasiedliśmy wkoło kominka, śnieg padał grubemi płatami.

— Nie było już śniegu od dwóch miesięcy, rzekł Janek, od dnia urodzin naszéj dziéweczki.

W chwili gdy to mówił dziécię zapłakało. Ojciec mój zadrżał, wiedzieliśmy, że nie lubił małych dzieci. Na powtórny krzyk Urszula wstała i wyszła. Ojciec poglądał za nią dziwnym wzrokiem: wkrótce potem zaczął się wybierać do domu.

— Nie opuszczaj nas pan jeszcze, prosimy, rzekł Janek, Urszula chce panu pokazać naszą maleńką.

Ojciec machnął ręką, jakby chciał odegnać przykrą myśl. Głos dziécięcia odzywał się czasami, wreszcie pani Halifax weszła do pokoju, trzymając w ręku swój zimowy kwiateczek, swoją córeczkę ukochaną.

Ojciec mój spojrzał na matkę i na dziécię, a potem zamknął oczy i nie patrzał na nie.

Obeszło to Urszulę, lecz pochwały, jakiemi wszyscy obsypywali dziecinkę, wkrótce ją pocieszyły.

— Znać że przyszła na świat ze śniégiem, rzekła pani Jessop, taka téż biała jak śnieg.

I taka cicha, rzekła Urszula, prawie nigdy nie krzyczy; przez pół dnia leży w kołysce z zamkniętemi oczkami.

W téj chwili doktór wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi z łoskotem. Dziécię zapłakało.

— Dziwna rzecz, jak ma bystry słuch rzekł Janek, najmniejszy hałas zwraca natychmiast jéj uwagę.

Urszula pokazała nam długie rzęsy Murielki.

— Zdaje mi się rzekła, że ma takie oczy jak ojciec; szkoda tylko, że je tak często zamyka. Ale teraz patrzy na nas, chodźmy do okna, pokażmy nasze oczki doktorowi.

Dziécię miało w rzeczy samej ładne ciemno niebieskie oczy, otoczone długą ciemną rzęsą, wyraz ich jednak był szczególny; a raczéj brakło im zupełnie wyrazu. Spostrzegł to doktór Jessop, twarz jego okazała niespokojność.

— A co, wszak ma oczy Janka, nieprawdaż? zagadnęła Urszula.

— Nie mogę stanowczo odpowiedzieć, odparł doktór, lepiéj osąd ę przy świécy.

— Natychmiast idę po nią.

— Nic pilnego, przyjdę jutro zrana i obejrzę jéj oczki dokładnie.

Janek spostrzegł niespokojność doktora.

— Daj mi maleńką, rzekł, i przynieś zaraz świécę.

Gdy wyszła, zaniosł dziécię do okna; długo przyglądał się jéj maleńkiéj twarzyczce.

— Czy pan sądzisz, rzekł patrząc na doktora, że w oczach ma jaką wadę?

Urszula wracając posłyszała te słowa.

— Coś mówił o oczach dziecka? spytała z przerażeniem.

Nikt jéj nie odpowiedział, wszyscy stali przy oknie. Mała Murielka leżała na kolanach ojca, doktór chciał jéj otworzyć oczy. Zapłakała żałośnie. Matka porwała dziécię, przycisnęła je do piersi gorączkowo.

— Dajcie jéj pokój, zawołała; ona ma zdrowe oczki, nikt się jéj nie dotknie, ja nie pozwolę na to.

— Urszulko moja! rzekł Janek po cichu! słowa te uspokoiły ją natychmiast.

— O! przebaczcie mi rzekła, powstrzymując łkanie podnoszące jéj piersi: samo przypuszczenie jakiegoś złego doprowadza mnie do rozpaczy. Janku, nie pozwalaj patrzeć w jéj oczki.

— Lepsza stokroć prawda niż niepewność, rzekł Janek słodko, lecz stanowczo.

Urszula oddała Murielkę. Dziécię ośmielone głosem ojca, otworzyło znów oczki. Doktór zbliżył swiatło, ale źrenice stały kołem, nie objawiając najmniejszego poruszenia.

— Doktorze! ona nie widzi rzekł Janek, byłażby ślepą?

— Tak, ślepa z urodzenia, odparł doktór.

Słowa te, lubo z cicha wyszeptane, doszły ucha matki. Porwała dziécię na ręce.

— Janku mój Janku! zawołała przeraźliwym głosem.

(d. c. n.)